

# O RÓŻNOŚCIACH

## CZEŚĆ 8

Skusić dzisiaj kogoś do czegokolwiek to żadna sztuka. Jeśli ktoś ogląda wszędobylskie reklamy, to musi im ulec. Ale z tym kuszeniem to długa historia. Zaczęło się oczywiście od Ewy. Tak się przyjęło, że kusiła Adama jabłkiem. Nie wiem, czy ktoś to widział. Jak długo to kuszenie trwało, też nie wiadomo. Ważne, że w końcu nastąpiło. Wszyscy przyczepili się do jabłka, i tak bez końca kręcą się wokół niego. Nawet dzieci w przedszkolu o tym wiedzą. Ale ja bym powiedział po oglądnięciu iluś tam wizerunków tej sławnej pary, że Adam był kuszony także innymi rzeczami, o czym już żadne źródła nie donoszą, w każdym razie ja ich nie znam. Nie wchodzę w szczegóły, niemniej skądś musieliśmy się wziąć. Co by było gdyby Ewa kusiła Adama tylko jabłkiem? Odpowiedź jest prosta. Nie byłoby rodzaju ludzkiego, z czego z pewnością cieszyłaby się cała przyroda. Ale stało się i gdybanie teraz nie ma sensu. Gdybania jest dzisiaj za dużo. Internet jest cały „zagdybany” zwłaszcza przez ekspertów, więc my nie będziemy. Jak tu skrótowo napisać, czym i w jaki sposób tak długo kuszone się, i to wzajemnie. Tyle było powodów do kuszenia, że w ich powodzi przytoczę tylko dwa. Na początku kuszone się na pewno skórą. Następcy Adama mówili swoim wybrankom, a również innym sympatiom: Może spróbowałabyś wejść pod tę skórę. Wyboru dużego nie miały. Czy jakieś futro było modne, czy nie, nic o tym źródła nie wzmiankują. Chyba już wtedy panie zaczęły się poddawać temu uzależnieniu trwającemu do dzisiaj. Można niemal na 100% przyjąć, że wszyscy chodzili goli, było im zimno, zwłaszcza nocą, trzeba się było zagrzać tak czy inaczej (tu nie wchodzę w szczegóły, choć były ważne), zatem wszystko co mogło ich ocieplić, było przydatne. Jestem natomiast przekonany, że w tych dawnych czasach nie kusił ich smak. Rąbali, młócili, wpierniczali, wtrądzali wszystko, bo byli głodni. To głód sprawiał, że wszystko im smakowało. Przyznam się w tym miejscu, że to również mój ulubiony „dosmaczac”. Nic nie kosztuje i nie truje, podobnie jak tych naszych pra, pra... rodziców. Zaoszczędzić już wtedy można było, nie zbierając dodatków, choć nie były jeszcze tak szkodliwe jak obecnie, a i człowiek był zdrowszy. Smak zaczął gubić ludzi dopiero niedawno, jak powstały wielkie koncerny spożywcze o globalnym zasięgu. Gdzie? Jak zwykle wszystkie „śmieci” rozlażą się ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Oni wiedzą, jak dosolić, jak posłodzić, powiem krótko: jak dopieprzyć i dosłownie, i w przenośni. Widać to wyraźnie na ich ulicach. I nie, żeby się zatrzymali w rozwoju, cały czas pracują nad lepszymi środkami chemicznymi i metodami kuszenia konsumentów, którzy, mając obecnie wszystkiego pod dostatkiem, tylko chrupią, pogryzają, zakaszają, podjadają, papusiąją itp. Kusząc się na takie paskudztwa, ludzie zeszedli na psy, albo jeszcze gorzej. Na koniec wspomnę jedynie o sposobach zachęcania innych do zjedzenia czegoś, na co niekiedy nie mają ochoty bądź nie powinni tego robić. Tym się zajmują wybitni specjaliści, tzn. styliści żywności. Cóż oni wyprawiają? Tak dopracowują wszystko, że chciałoby się nawet wykonane przez nich zdjęcia fotograficzne z reklamowanymi produktami zjeść, a po obejrzeniu tysięcy filmów zaraz pędzić do marketu albo KFC obejrzane produkty kupić bądź na miejscu spałaszować. Kto się temu oprze?

14 sierpnia 2024. Przed jednym z marketów rano rzuciłem garść pszenicy gołębom. Patrzyła na to przechodząca obok starsza pani. Mówię jej: teraz to pani na pewno mnie wyzwie i pogoni. A ona: ależ skąd, sama je karmię. Wdaliśmy się w pogawędkę. Mieliśmy takie samo zdanie o problemach katowickich. Żadnego poszanowania przyrody. Skarżyła się, że obok na dziedzińcu, gdzie mieszka, wycięli drzewa. I o dziwo uczyniła to Ochrona Środowiska. Zrobili parking. W sąsiedztwie było podobnie. Protesty na nic się zdały. Znalazły się jakieś pojedyncze osoby, którym przeszkadzały (to parkingowcy). Wspomniała też o zabetonowaniu Katowic. Podałem jej przykład rynku. Ludzie są po prostu głupi. Nie ma żadnej organizacji chroniącej przyrodę miejską, a tylko nieliczne niemrawo próbują, na ogół jedynie słowem pisanim, interweniować w obronie mieszkańców. Wspomnieniami sięgnęliśmy PRL-u. To było inne życie, inny świat. I znacznie lepszy niż dzisiejszy. Tak zanotowałem w skrócie, i nie wszystko, na gorąco po przyjściu do domu.

Rzadko oglądam transmisje z igrzysk olimpijskich w Paryżu. Zaglądam czasami do tabeli medalowej. Na początku Polacy w tej klasyfikacji byli w drugiej dziesiątce. Start był nie najgorszy. Ale z upływem dni stało się coś nieprawdopodobnego. Pomylili kierunek. Zamiast „pchać się” do przodu, parli do tyłu tabeli. Jest wieczór 2 sierpnia 2024 roku, a nasi „awansowali” już na 36 miejsce po zdobyciu przez Igę Świątek brązowego medalu. Może w końcu ktoś im wytłumaczy, że należy podążać odwrotnie. Nie jest to szczególnie coś zaskakującego, ponieważ w wielu dyscyplinach tzw. niesportowych też wybraliśmy kierunek na odwrotną stronę. Poranek 4 sierpnia. Sprawdzam tabelę medalową. Polska na 44 miejscu. Takich „sukcesów” reprezentacja narodowa jeszcze nie odnosiła w historii igrzysk. W czasach mojej młodości na półmetku mieliśmy już znaczny dorobek medalowy i punktowy. Jutro ma być lepiej. Zobaczymy. Rano 5 sierpnia. Polska na 48 miejscu. Czy ktoś wreszcie odwróci ten niekorzystny trend? 6 sierpnia, pierwsze słowo wpisane w wyszukiwarce to medale. Niestety, jesteśmy na miejscu 51. Dalej spadamy. Parę dni do końca igrzysk. W drugiej dziesiątce są już Węgrzy, Rumuni i pojawili się też Ukraińcy. Teraz kolej na nas, 7 sierpnia. Sprawdzam tabelę medalową. Dołujemy. Jesteśmy na 53 miejscu. Może jednak upadek będzie mniej bolesny? 8 sierpnia rano. No wreszcie do przodu. Jesteśmy na 35 miejscu. Zrobiłem sobie przerwę. Zaglądam 10 sierpnia, przedostatni dzień igrzysk. Niestety, 45 miejsce. Nadzieja, że dzisiaj siatkarze i bokserka wywalczą złote medale, jest duża. Zobaczymy. No i wieczorem ostatniego dnia igrzyska zobaczyłem, że zajmujemy 40 miejsce. Tak złego wyniku nie pamiętam. Ostatecznie skończyliśmy na 42 pozycji z dziesięcioma medalami, ale tylko z jednym złotym. Bez komentarza.

Cymbergaj. Nie ten, o którym dzisiaj piszą. Żadne specjalne stoły i inne akcesoria. Liceum Ogólnokształcące w Ochojcu. Po wejściu na drugie piętro i skręcie w prawo, w korytarzu na wprost nasza klasa IX. Okna dzisiaj wychodzą na plac zabaw. Oj, działa się wtedy, działa. Szaleństwo ponad miarę. To był ten właściwy, oryginalny cymbergaj. Okupowaliśmy dwójkami stoliki z prostokątnym blatem, te, przy których siedzieliśmy na lekcji. Ich powierzchnia była gładka. Na krótszych ścianach wyraźnie widoczne nacięcia na tzw. torki. Doszliśmy do perfekcji. Piłkę symbolizował grosik, a uderzaliśmy w niego większą monetą. Ważnym elementem tej gry był krótki kawałek np. linijki, którym przesuwaliśmy monetę po stole. Niektóre zagrywki były mistrzowskie, i w zupełnie beznadziejnych sytuacjach pakowaliśmy grosik w torkach. Zabawa była znakomita i „zainfekowała” wszystkich chłopaków. Dziewczyny w niej nie uczestniczyły. Nie wiem już dlaczego. Dzisiaj byłoby inaczej. Pchają się już wszędzie, m.in. do boksu oraz mieszanych sztuk walki. No i dobrze. Byle im to na zdrowie wyszło. Bo na kasę na pewno.

Na jednym z portali napisano: „Nawet jeden kieliszek wina czy kufel piwa dziennie może znacząco zwiększać ryzyko nadciśnienia. Nadciśnienie z kolei jest jednym z głównych czyn-

ników ryzyka chorób serca i udaru mózgu”. Według innego portalu statystyczny Francuz pije pół butelki dziennie. No to jak, cały czas chodzi „nadciśniony”, czy co? Nawet podwójnie, bo pół butelki to ponad 2 lampki. Idąc jeszcze dalej za naukowymi doniesieniami, należałoby stwierdzić, że wszyscy Francuzi powinni kończyć na choroby serca i udary. Jakim cudem oni jeszcze chodzą po Paryżu? Nie wiem. Raz tam byłem, już dosyć dawno temu, i nic specjalnie nie widziałem. Ani nie byli ululani, ani nie zataczali się na ulicach, ani nie widziałem karettek zbierających ich nieprzytomnych z chodników.

Co podoba mi się po włączeniu komputera, to zmieniająca się co parę dni tapeta w monitorze. Pytają, czy mi się podoba, czy nie. Preferuję przyrodę, krajobrazy. Niekiedy zdjęcia obejmujące cały ekran są wspaniałe. Robione z pewnością przez zawodowych fotografów. Ci mają m.in. doświadczenie, dobre oko i znakomity sprzęt. Cieszę mnie szczególnie intensywne kolory, do których mam słabość. Informacje zamieszczone w prawym górnym rogu pomagają w znalezieniu podobnych, a czasami tych samych zdjęć na odpowiednich stronach internetowych. Tam jednak trzeba się naszukać, ponieważ jakość tego typu fotografii nie jest najlepsza.

Ludzie czasami zadają pytanie: Czy jesteś wierzący? Nie wiem, jak odpowiedzieć. Słowo „wierzący” ma wiele znaczeń. Bardziej zasadne byłoby pytanie: Czy wierzysz w Boga? Moim zdaniem wierzący jesteśmy wszyscy. Jeden powie: wierzę, że Bóg jest, a drugi wierzę, że Boga nie ma. Albo jest, albo nie. Chyba innych możliwości nie ma. Pomijam tych, którzy są niezdecydowani, mówią wymijająco albo nie wiedzą, co odpowiedzieć. Tak czy inaczej i jedni, i drudzy przyjmują to na wiarę. Po prostu wierzą. Czyli po takim dowodzeniu można powiedzieć, że wszyscy jesteśmy wierzącymi. Po co więc pytać, czy jesteś wierzący?

Zobaczyłem w markecie konserwę mięsną. Czytam, co na niej napisano: „Konserwa podobna do tej z PRL-u. Zakłady Mięсне Szubryt. Smakiem oraz wyglądem przypominająca tą z czasów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Nie każdy może pamiętać, ale teraz każdy może spróbować”. Przejrzałem jej skład. Wśród kilkunastu dodatków m.in. wzmacniacz smaku: E621, aromaty (w tym aromat dymu wędzarniczego), substancja konserwująca: E250. Czyżby nie potrafili wyprodukować takiej samej jak kiedyś? Bardzo wyraźnie jest widoczne „Konserwa z PRL-u”, ale że tylko „podobna” zaznaczono delikatnie poniżej. Ilu zjadaczy tej konserwy się nadziało? Byle towar sprzedać, za wszelką cenę. Ten produkt akurat na fali mody peerelowskiej.

Staruszki i staruszkowie tacy jak ja myśleli, że na emeryturce będą się mogli nagađać ze znajomymi do woli. Są rozmaite pakiety pozwalające na rozmowy telefoniczne bez końca, bez limitu. To jakby rozmowy niedokończone, bo już następnego dnia bądź za tydzień będzie je można wznowić. To teoria. Praktyka jest inna. Ciągłe się dowiaduję o tzw. odejściach koleżanek i kolegów. To takie dziwne. Czyżby odeszli i jeszcze mieli wrócić, czy już nie? Jak słyszę, że umarli, to pewne. Mam jednak sporą grupę znajomych, którzy nie zmarli, a właśnie odeszli. Nie wiem tylko dlaczego? Chodzi mi o tych, co zniknęli z mojego pola widzenia, częściej słyszenia. Nie dzwonią. Ja do nich jeszcze tak. Ale ile można. O podobnych sytuacjach mówili mi znajomi. Przestają dzwonić i koniec. Przepadli jak kamień w wodę. Gdzieś tam dowiaduję się, że jednak jeszcze nie odeszli (czytaj: zmarli). Ale się nie odzywają. No to ja też nie i można powiedzieć, że sprawa się rypla, a raczej kontakt się rypnął. Cóż. Zostało mi już niewielu chętnych do rozmów. Przypomniał mi się teść. Jeszcze w wieku 80–85 lat ktoś się z nim spotykał, rozmawiał. Potem koniec. Ogólnie miał dobrze: mieszkał nie sam, lecz z córką i zięciem. Jednak uważał, że z nami nie ma o czym rozmawiać, więc zagadywał ludzi obcych w różnych miejscach, czego byłem wielokrotnie świadkiem. Nie ma jak koty. Z nimi można gawędzić do woli. Potrafią słuchać, zwłaszcza gdy rozmowie towarzyszą pieszczochy.

Kiedyś jednej z koleżanek powiedziałem, jak będzie wyglądać nasza rozmowa za jakiś czas. Leżymy na cmentarzach w różnych miejscowościach. Ona w trumnie, bo tak chciała, a ja w urnie, bo tak chciałem. Łączymy się na falach przeznaczonych dla tych z innego świata. To zupełnie odmienny system. Smartfony przy nich są tysiąc lat do tyłu. Ja: Ewa, jak się czujesz? Myślę, że masz lepiej niż ja. Nie mogę nawet nóg wyciągnąć. Spalili mnie dokumentnie. Prawie proch. Tyle że nie zgniłem. Nie wiem, jak było z tobą. Pod pewnymi względami masz lepiej, no bo nogi wyciągnęłaś nie tylko w przenośni. Podejrzewam, że całkiem się nie „zepsułaś”. Przecież byłaś dobrze uwędzona od tych paskudnych papierosów (30 dziennie). Ewa: Masz rację. Prawie wszystko na miejscu, ale ruszyć się za bardzo nie mogę. Z góry wieko mi przeszkadza, a na bok też nie za bardzo jest miejsce. Tak bym się zaciągnęła. Jedyne pomarzyć mogę, to i tak dobrze. Rozmowa oczywiście trwała dłużej. Nie będę jej kontynuował, bo to dosyć intymna sprawa. Co się dzieje w zaświatach, każdy z chęcią chciałby wiedzieć. Ile ludzi, tyle wizji. Swoje będę prezentował. Jak inni mogą, to czemu nie ja?

Wracam do przyjemniejszych chwil, choć te nie były znów takie złe. Rok 1963. Czerwiec. Egzamin dojrzałości w szkole im. Władysława Broniewskiego w Ochojcu. Mówią, że pamięta się go do końca życia. Mnie tylko jakieś strzępy w głowie zostały. Egzamin pisemny był chyba tylko z języka polskiego i matematyki. Kto uzyskał ocenę bardzo dobrą, był zwolniony ze zdawania egzaminu ustnego. Każdy siedział przy osobnym stoliku na sali gimnastycznej. Jakies tam ściągania były i krążyły między nami, ale odległości były spore. Egzamin ustny (język polski, matematyka, historia, geografia i zdaje mi się, że wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, ale dokładnie nie pamiętam) odbył się w ostatniej sali korytarza na pierwszym piętrze. Tam przepytowała nas komisja składająca się z kilku nauczycieli. Przypominam sobie tylko, że wyciągaliśmy kartki z pytaniami. Na jednym pasku wypisane były bodaj trzy. Jako jedyny zdawałem geografię u prof. Adama Hałatka. I to wszystko. Bal maturalny zorganizowano, podobnie jak egzamin pisemny, także na sali gimnastycznej, odpowiednio przystrojonej. Zawzięcie tańczyliśmy madisona i twista. Ten pierwszy był akurat modny, dzisiejszymi słowy na topie.

Do historii będę się niekiedy odwoływał. Teraz o tej najstarszej. Ciągle dowiaduję się o nowych odkryciach i hipotezach jej dotyczących. I tych naukowych, i nie. I tych ogólnych i szczegółowych. Czasami nie wiadomo, do których je zaszeregować. Przypomina mi to trochę takie rozbłyskujące gwiazdy na dłużej bądź krótko. Najczęściej to chwila, chwileczka i nie ma. Giną w powodzi innych im towarzyszących każdego dnia w Internecie. Nie wiem czy takie migotania wynikają z akurat rozjaśnionego umysłu osoby lub grupy osób o nich piszących, czy może są tworem wybujałej fantazji i szalonych pomysłów. Nie można wykluczyć, że mogą być, i chyba są, doraźnym zaćmieniem, które się nam dzisiaj często zdarza. Niektórzy, wydaje się, w tym zaćmieniu cały czas pracują. Trudno tu wyliczać inne powody. Mówią, że im mniejsze ktoś ma możliwości zaistnienia w mediach, tym więcej wymyśla, aby się pokazać. Nie trzeba ich nawet wyłuskiwać spośród tysięcy innych, ukazują się bowiem na pierwszych stronach najważniejszych, zwanych z rzadka prestiżowymi, i mniej ważnych, a także niepoważnych portalach. Co tu dużo gadać, wszystkie one zamieszczające sensacyjne wiadomości są popularne, bo popyt na nowości jest olbrzymi.

Donald Tusk w przemówieniu wygłoszonym 31 sierpnia 2024 roku w Gdańsku przekazał, że „zapewnienie bezpieczeństwa państwu musi opierać się na dwóch czynnikach: patriotyzmie obywateli oraz silnej i nowoczesnej armii”. Cóż, w historii, nie tylko naszej, różnie z nimi bywało. Jeśli chodzi o patriotyzm, to „przykład” dał nasz rząd po wybuchu II wojny światowej. Armia natomiast wyruszyła na wroga we wrześniu nastawiona bardzo patriotycznie i ze

świetnie zorganizowaną jazdą konną. Koniec jest wszystkim znany. Innych przykładów nie będę podawał, do szczegółów jeszcze powrócę. A znam ich wiele m.in. z opowiadań ojca walczącego nad Bzurą, trudnych już do policzenia filmów dokumentalnych i przeczytanych książek o globalnych i regionalnych konfliktach.

I znowu ta nieszczęsna władza. Wszyscy mamy z nią do czynienia. Jeśli nie jako władcy, to podwładni. Tak można ten niezrozumiały świat podzielić. Jeśli komuś uda się wskoczyć, albo raczej zasiąść na jakimkolwiek stołku, nawet niewielkim, to zaraz wydaje mu się, że jest rozumniejszy, a na pewno nieomylny. Nie zdaje sobie sprawy nieszczęśnik, że najczęściej głupiej. Dla podwładnych rozmaitych stołków, foteli, nie mówiąc o tronach, z reguły nie starcza. Wszyscy nie mogą na nich siedzieć, a więc się pomieścić. Podwładnym pozostaje siedzenie na ziemi. Będąc na niej, wydają się bliżsi rzeczywistości, Matki Ziemi, a nie tak jak ci pierwsi bujania w obłokach. Jednak można takie rozumowanie odwrócić. To ci siedzący na ziemi bujają gdzieś tam, a ci na stołkach twardo się ich trzymają, znając realia życia.

Ojciec służył przed wojną w 56. pułku piechoty w Krotoszynie. Tam awansował do stopnia sierżanta i jako taki wyruszył na wojnę z całym pułkiem. Rozmów z nim prowadzonych głównie w latach sześćdziesiątych nie notowałem. Nie myślałem wtedy, że jego wspomnienia mogłyby się do czegośkolwiek przydać. Podobnie było z mamą. Z tych powodów zachowały mi się w pamięci jedynie ich fragmenty. Oglądaliśmy czasami fotografie z tamtych lat. Udało mi się ocalić niektóre z nich. Kilka przesłałem jakiś czas temu do krotoszyńskiego muzeum, uważając to miejsce za odpowiednie na ich przechowywanie. Postaram się je przedstawić osobno. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych tato słuchał często w radiu dwóch rozgłośni, a mianowicie „Wolnej Europy” i „Głosu Ameryki”. Czasami siedziałem przy nim i naciągałem ucho, ponieważ „fala” zwana wówczas krótką uciekała, tzn. raz było słyhać, a czasami nie. „Nasi” zagłuszali, jak tylko się dało. Słuchanie tych programów było zakazane (chyba groziło więzieniem), ale w domowym zaciszu mało kto się powstrzymywał, aby dowiedzieć się prawdy o wydarzeniach światowych. Na początku korzystaliśmy z „Pioniera”, niewielkiego odbiornika bardzo wtedy popularnego. Pod koniec lat pięćdziesiątych kupiliśmy „Stolicę”. Odbiór się nie poprawił. Tato z uchem przyłożonym do głośnika to obraz zapamiętany do dziś. W tym też czasie zadawałem mu dosyć kłopotliwe pytania o jego wspomnienia z czasów wojny, a zwłaszcza bitwy nad Bzurą, w której uczestniczył. Nie wiem dlaczego, czy uznawał, że jestem zbyt młody (czytaj durny) do dyskusji na takie tematy, czy też nie chciał mówić prawdy w obawie przed wygadaniem się syna, czego skutki mogłyby być dla niego opłakane. Zastanawiałem się później nad takim jego postępowaniem. Tak mi się wtedy wydawało, że nad tą Bzurą nie wszystko poszło tak jak trzeba. Dotknąłem ich bohaterstwa: walczyliście z takim skutkiem, że skończyłeś w Warszawie, skąd cię wzięli do niewoli. To i tak było nie najgorzej, bo przymusowo zesłano go do jakichś prac, ale nie pamiętam gdzie. Do 10 lat po wojnie widywałem się z nim dorywczo. O nasilonym czasie działalności ubeków, do mniej więcej 1956 roku, w ogóle nie chciał mówić. Z czasem jego powściągliwość w rozmowach ze mną stawała się dla mnie uzasadniona. Tylko mama, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy przyjeżdżała do mnie na spacer po osiedlu i parku Kościuszki, coś niecoś opowiadała mi o naszej rodzinie. Niestety, nie zapisywałem ich i dzisiaj bardzo żałuję. Zdawało mi się, że to nikomu i do niczego nie będzie potrzebne, poza mną.

Często pojawiające się w Internecie pytania: Co jeść? Oto strony im poświęcone:  
Co jeść rano i wieczorem?  
Co jeść, aby schudnąć?  
Co jeść, aby skutecznie schudnąć?

Co jeść, aby było zdrowo i różnorodnie?  
Co jeść i jak jeść?  
Co jeść i jak zacząć?  
Co jeść, a czego nie?  
Co jeść codziennie, aby być zdrowym?  
Co jeść na śniadanie, obiad i kolację?  
Co jeść, by mieć zdrową cerę?  
Co jeść, by nie przytyć?  
Co jeść po wyjściu ze szpitala?  
Co jeść, a czego unikać?  
Co jeść, trenując?  
Co jeść na redukcji?  
Co i jak jeść, żeby być zdrowym?  
Co jeść na wyjazdach i wakacjach, będąc na diecie?  
Co jeść, żeby dostarczać białko do organizmu?  
Co jeść, by mieć zdrowe serce?  
Co jeść, by dłużej czuć sytość?  
Co jeść, aby mieć więcej siły?  
Co jeść, aby uspokoić nerwy?  
Co jeść, żeby się jeść nie chciało?  
Co jeść, żeby palić się nie chciało?  
Co jeść, aby nie chorować?  
Co jeść, by nie szkodzić planecie?  
Już nie mam siły spisywać kolejnych głupot, więc pytam, co jeść by nie zgłupieć?  
Ostatni raz stukam palcem po klawiaturze, ale na tak postawione pytanie nie znalazłem odpowiedzi. Pustka. Więc sprawa jest jasna.

Zgadzam się całkowicie z profesor Anną Polony, która udzieliła wywiadu:  
„Anna Polony żegna się z życiem. »Nie mam już sił, żeby walczyć...«”  
Jej poglądy są zgodne z moimi, m.in. o współczesnej młodzieży i o starości. Nic dodać, nic ująć. Do spraw przez aktorkę poruszonych będę wracał.

Znowu trochę o staruszkach. W końcu temat mi bliski, w którym mogę wyrażać się bardziej kompetentnie. Choć bo ja wiem? Mimo ogólnej nagonki na staruszków, polegającej na zmienianiu ich dawnego nazywania na jakieś dziwolągi słowne w rodzaju seniorka i senior, będę się tych „starych” trzymał. Setki lat byli takimi, aż tu od niedawna krzywdzi się ich jakimiś szpetnymi określeniami, obcymi zupełnie tradycji i językowi polskiemu. Kto jeszcze językową tradycję szanuje? Na pewno prof. Jerzy Bralczyk, który niedawno uznał, że zwierzęta nie „umierają”, lecz „zdychają”, preferując tym samym „tradycyjne formuły i sposób myślenia”. No to ja podążam za jego rozumowaniem i uważam, że staruszki też dotychczas były prawie wyłącznie. Oczywiście synonimów było więcej, wybieram dla przykładu kilka dla nich lepiej brzmiących: nestorzy, w podeszłym wieku, nie pierwszej młodości, i nieco gorzej, jak stare pierniki, pryki, ramole, a także grzyby. Przynajmniej w tym małym fragmencie podejmuję wyzwanie globalnym wpływom języka angielskiego na bezbronne języki regionalne. Staruszka to nie staruszek, wiadomo. Pierwsza żyje dłużej, a ten drugi krócej, tak na ogół. Rzadko jest odwrotnie, statystyki są nieubłagane. Nie wdaję się w uzasadnienie tego zjawiska. Wynika to po części z cech biologicznych, po części psychicznych. Często zadawane jest pytanie: Kto w domu bądź rodzinie rządzi? Mówią, że podobno mężczyzna jest głową rodziny, a kobieta szyją. To mi jednak niewiele mówi dzisiaj. Według znanych mi tradycji to staruszkowie, albo

jeden z nich, powinni rządzić. Przysługuje im to z racji wieku, szacunku, doświadczenia itp. Kto by dzisiaj się z nimi liczył? I ze starszami, i z tradycją. Czasy się zmieniły. Przecież bywa tak, że ani głowa, ani szyja nie rządzą, zwłaszcza jeśli chodzi o starszów. To już nie te głowy, bo podrasowane medyczną wiedzą, jakżesz inne od tych dawnych. Jeśli dołożyć powszechną u nich sklerozę, niedołężność, słabowitość i nie ukrywam, często głupotę, to oddawanie rządów w domu czy rodzinie takim ciamajdom nie pozostawia złudzeń co do rządzenia. Jeśli im się czasem to „uda”, to wyjątki. Nawet kasa im we władzy nie pomoże, bo zasiedli na niej spadkobiercy.

Czas na bezdomnych. Miałem z nimi do czynienia po przeprowadzeniu się na Osiedle Zgrzebnioka w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Na początku nie było ich wielu. Z nadzieją „wolnej” Polski zaczęło się. Liczba bezdomnych wzrosła ogromnie. Szukali miejsc dla siebie. Jednym z nich był kanał w odległości około 20 metrów od ulicy Zgrzebnioka, po stronie boiska dawnej katowickiej Gwardii. Śmietniki stały się miejscem ich spotkań, a czasami rywalizacji o wszelakie przedmioty dające się sprzedać (papier, złom itp.). Nie brakowało też głodnych szukających cokolwiek do zjedzenia. Temat to dla mnie wyjątkowy. Mój kontakt z bezdomnymi i z ich zwierzętami (psami i kotami) był stosunkowo bliski, czasami codzienny, aż do końca mniej więcej drugiej dekady tego wieku. W tym czasie wielu z nich zmarło, przeniosło się w inne miejsca. W końcu kanały pozamykano, a budynki zburzono. Od paru lat ich nie widzę, a miejsca, w których przesiadywali, zarosły i wydaje mi się, że tylko ja pamiętam, gdzie i kto mieszkał, co robił, jak wyglądał. Wspomnień o nich i notatek zbierało się tak dużo, że mógłbym napisać obszerny artykuł. Podzielił się obrazami w kawałkach.

We wrześniu 2024 roku siedziałem na przystanku autobusowym naprzeciw szkoły podstawowej przy ulicy Jankego w Piotrowicach. Na boisku szkolnym uczennice się gimnastykowały. Przymknąłem oczy i zobaczyłem to samo miejsce w latach gdzieś 1956–1957. Graliśmy tu w piłkę nożną najczęściej lub szczypiorniaka. Niewiele się zmieniło. Siatki otaczającej boisko na pewno nie było. Biegaliśmy po innej nawierzchni. Reszta ta sama. Minęło prawie siedemdziesiąt lat. Nie myślałem oczywiście wówczas, co będę robił w latach dwudziestych XX wieku. Czas minął nader szybko i pozostały tylko wspomnienia.

Żeby było ciekawiej, wracałem autobusem z Murcek gdzieś po 1,5 godziny, wysiadłem na skrzyżowaniu ulic Ziłowej i Jankego. Nie chcąc tu czekać około 10 minut na następny autobus, poszedłem w kierunku kolejnego. Przechodziłem obok liceum, szkoły, do której uczęszczałem na początku lat sześćdziesiątych. Otwarte drzwi wejściowe skusiły mnie do wejścia i przy okazji zrobienia zdjęć fotograficznych tableau absolwentów wiszących na korytarzach, z roczników zbliżonych do mojego. Nieoczekiwanie zatrzymał mnie portier. Nie wolno. Trzeba się wpisać do zeszytu. Nawet tu? zapytałem. Takie jest zarządzenie. No to się wpisałem. Poszedłem na drugie piętro. Porobiłem zdjęcia z użyciem lampy błyskowej, bo było ciemnowo. Dalej korytarzem do drzwi naszej kiedyś klasy X. Obecnie jest tam pracownia matematyczna. Wracałem. W dwóch klasach odbywały się lekcje przy otwartych drzwiach. I bardzo dobrze, bo jest gorąco. Co mnie mile zaskoczyło, to dużo zieleni na ścianach. Na dole wdaliśmy się z portierem w pogawędkę o minionych latach. Był bardzo sympatyczny i rozmowny. Wyszliśmy na podwórze, rozprawiając o widocznej w dali sali gimnastycznej. Wspominałem mu o graniu w piłkę nożną wspólnie z prof. Andrzejem Gajewskim. Tu też się prawie nic nie zmieniło. Przy wychodzeniu poprosiłem, żeby nie zapomniiał wypisać mnie. W krótkim odstępie czasu znalazłem się w obu budach, z którymi związałem moje lata szkolne. Było, minęło, jak wszystko w życiu.

Wrzesień 2024 roku. Cytuję za jednym z portali internetowych: „Eksperci zalecają, aby szczepionki przeciw grypie, COVID-19, pneumokokom, RSV oraz krztuścowi (szczepionka

przeciw tęzczowi, błonicy i krztuścowi) podawać podczas jednej wizyty, o ile istnieją odpowiednie wskazania medyczne. Ważne jest, aby każda iniekcja była wykonana w inną kończynę.” No ale mamy 4 kończyny, natomiast proponuje się 5 szczepionek. Pozostaje więc albo dołożyć jedną kończynę, albo zrezygnować z piątej iniekcji.

Do czego służą słuchawki? Do słuchania. W takim razie, do czego służą słuchawki prysznicowe? Nie bardzo sobie mogę ich nazwę wyjaśnić. Na ogół przykłada się słuchawki do ucha, aby coś słyszeć. Przykładając słuchawkę prysznicową do ucha, nic nie słyszymy. Jeśli odkręcimy wodę, to coś tam słyszymy, np. jej bulgot bądź szum. Ale czy takie odgłosy wraz z wodą mają się z nich wydobywać? Skutkiem ich przystawienia do ucha jest na ogół jego zalanie, co w normalnych słuchawkach raczej się nie zdarza.

Mieszkałem we wczesnych latach szkolnych w Krotoszynie. Na ulicy Koźmińskiej były jakby dwie jezdnie. Jedna brukowana kostką, a druga ziemna, nad którą w suchej porze wznosił się kurz. Po obu stronach dosyć szerokie, ziemne chodniki oraz rosnące między nimi a jezdnią drzewa. Samochodów prawie nie było. Często natomiast przejeżdżały nią wozy w kierunku młyna zbożowego. Ale, co było najbardziej dla mnie interesujące, to wozy cygańskie. Stały na tej ziemnej części. Kolorowe tak jak i ubiory Cyganów. Codziennie wychodząc z domu do szkoły bądź na zakupy, przechodziłem obok. Cyganów w mieście było wtedy dosyć dużo. Jedno ze skupisk znajdowało się przy ulicy prowadzącej z rynku do szkoły podstawowej. Tamtędy najczęściej chodziłem. Było tam zazwyczaj dosyć głośno. Cyganie nie mieli wtedy najlepszej opinii. Straszono nas nimi tak, że i ja musiałem uważać. Kradzieże były dosyć powszechne. Zaglądałem czasem do ich wozów. Kolorowe całe. I to mnie przyciągało. Do dzisiaj mam do nich słabość. To znaczy do kolorów, a nie Cyganów.

Diety to hity hitów. Internet od nich pęka, być może niedługo padnie. Nie mieszczą się w nim. Diet jest parę tysięcy, a w zasadzie miliardy, ponieważ każdy ma swoją dietę. Jedni pouczają drugich, jak jeść. Zawsze jakichś głupków znajdują. Młodzi pytają, co jeść, tak jakby im jedzenia brakowało. Diety konkurują między sobą, która jest lepsza. Rywalizacja jest ogromna właśnie z powodu ich liczby. Konkurencja powinna wyłonić po jakimś czasie najlepszą. Nic z tego. Latami trwają ciągłe przetasowania na pierwszych miejscach. Pierwszorzędną rolę odgrywa smak, ponieważ dieta musi być smaczna. Mówi się o wskazaniach na określone choroby, o zasadach oszczędzania, pobudzania itp., o potrawach dozwolonych i niedozwolonych, o piramidach żywienia, o zapotrzebowaniu na określone składniki, sugeruje się takie a nie inne proporcje, zaleca tłuszcze bądź odradza, namawia do jedzenia owoców i warzyw i w końcu zakazuje spożywać tłuszcze. O piciu alkoholu wolę nie wspominać. W wielu instytucjach utworzonych po to m.in., aby edukować innych co do właściwego żywienia, też pracują nad tym, jak poprawić jakość życia i swoje zdrowie. Nie wiem, czy czytają o tych wszystkich bzdurach albo chorują (chyba już chronicznie) tylko z przeglądania tekstów zamieszczonych na stronach internetowych, być może pękają ze śmiechu albo załamują ręce. Można dostać kręćka. Według mnie wszystkim się już pomieszało. Zawodowców, czyli lekarzy (którzy niewiele na ich temat wiedzą), zastępują dietetycy, do których odsyłani są liczni smakosze i chcący zdrowo i długo żyć. Ci mącą na potęgę, kryjąc się za wiedzą naukową i swoją niewiedzą. Podają czasami obszerną literaturę w języku angielskim, zamieszczoną w specjalistycznych czasopismach, żeby można było do niej szybciej dotrzeć, albo trudniej. Widać też dobitnie, że do wyścigu o pierwszeństwo w otumanianiu ludzi włączyli się niepoliczalni już blogerzy kopiujący inne teksty, nie racząc podać źródła, z którego korzystali. Prawie wszyscy nadają, że najzdrowsza dieta świata to dieta śródziemnomorska, która jest też smaczna i nie wymaga wyrzeczeń! No nie. Jeśli jedzenie nie wymaga ograniczeń, to nie jest dietą. W latach PRL-u wystarczała wszystkim

*Kuchnia polska* wydawana w dużych nakładach, o ile w ogóle była komuś potrzebna. O dietach wcale bądź niewiele się mówiło. Jedzono pod względem smaku nie gorzej niż dzisiaj, i bez tej całej chemii. Żarło na pewno było zdrowsze, a kucharki lepsze. Kierowano się oczywiście również smakiem, ale nie tym pełnym chemii. Tej wówczas niewiele było. Paskudztw zaczęto dodawać do żywności z początkiem lat dziewięćdziesiątych. Zaryzykuję stwierdzenie, że pod tym względem ustrój socjalistyczny przeważał nad kapitalistycznym.

Obiecałem powrócić do przykładów patriotycznej i nowoczesnej armii polskiej. Ten pochodzi z rozmowy ze szwagrem, ośmiolatkiem we wrześniu 1939 roku. Podczas jednej z ucieczek cywilów przed najeźdźcami, których wcześniej zobaczyli w zmotoryzowanej kolumnie, nagle z pobliskiego lasu wyskoczyła nasza husaria na wspaniałych konikach. Ojciec rzekł do niego z dumą: Zobaczysz, jak teraz Niemców pogonią. Minęło kilka godzin i resztki wspomnianego polskiego oddziału powracały w oplakany stan. Tato milczał.

Przyszłości ludzi nic nie uratuje. Żadne techniczne wynalazki. Eksploracja naszej planety postępująca niebywale szybko, nie jest żadnym postępem. Styl życia narzucany przez Amerykanów innym częściom świata to typowa ślepa uliczka, wiążąca się m.in. z nadmierną konsumpcją. Tworzenie czegokolwiek nowego niczemu nie zaradzi. Na spowolnienie biegu wydarzeń w kierunku zbliżającej się katastrofy może być moim zdaniem jedynie zaprzestanie szukania nowych rozwiązań, w tym głównie tych ingerujących w dotychczasowe prawa natury. Ten proces ostatnio wyraźnie przyspiesza. Dopuszczam ewentualnie automaty, które wyprą człowieka i doprowadzą do jego unicestwienia. Jednak panoszenie się automatów nie wiadomo, czy będzie lepsze czy gorsze. Tak jak cała przeszłość człowieka i życia na Ziemi.

Przewycięzać konflikty można tylko dialogiem. Ile można gadać? Tysiące lat minęły, a dojsie do lepszego zrozumienia rzeczywistości oddala się coraz bardziej. Nawet nie wiem, czy ludzie byli temu kiedykolwiek bliscy. Wszystko tak zaczęli gmatwać, że nic z tego wszystkiego nie kapują. Kto ich tak urządził? Sami się załatwili.

O betonozie trzeba wspomnieć. Słowo to zostało ostatnio spopularyzowane za sprawą większości miast i miasteczek. Same są sobie winne i nie mogą na innych zwałać. Może nie wszyscy mieszkańcy różnych miejscowości tak chcieli, ale rządzący z ich wyboru urzędnicy tak zdecydowali. Co za ich decyzjami stało, to albo ich tajemnica, albo tajemnica słynnego Poliszynela. Rynki już dawno zabetonowali, ale żeby ludzie nie zapomnieli, jak zieleń wygląda, postawili tu i ówdzie donice i nawet palmy do nich dali. Czasem parę drzewek w nich zasadzili. Ciekawe, kto na placu Kwiatowym w Katowicach sadził drzewka? No kto? Własnoręcznie to robił. Chyba nie była to właściwa ręka, bo po niedługim czasie drzewka uschły. Urzędnicy niepowodzenie złożyli na warunki atmosferyczne. Jak zwykle zawodzą, że to nie oni. Oni, oni. Trzeba ich od tych spraw odstawić. Mają rękę do betonowania, a nie do sadzenia drzew. Lepiej ich do tych czynności nie dopuszczają. Trzeba się też zapytać, czy te biedne rośliny wystające z donic to drzewa?

W części 4. cyklu „O różnościach” było o Idze, kotce, którą udało mi się uratować i przygarnąć. Ciągnę dalej. Trzymałem ją parę dni w domu, aby nie uciekła. Nie wiem, czyby wróciła. Teraz jednak była już wysterylizowana i nie groziło jej rozmnażanie się. Po bodaj pięciu dniach wypuściłem ją. Wyszła i wróciła. Po pewnym czasie dzwonek do drzwi. Pojawiła się młoda kobieta z synem i zapytała, czy u mnie jest taka kotka i pokazała zdjęcie w smartfonie. Wygląda tak jak Iga. Porozmawialiśmy. Powiedziała, że uciekła jej wiosną bodaj ubiegłego roku. Kobieta mieszka około 300 m ode mnie. Szukała jej, ale nie mogła znaleźć. Trochę to

dziwne, bo ja w drugiej połowie roku widziałem ją parę razy w pobliżu placu zabaw, a nawet przy ulicy Zgrzebnioka i zastanawiałem się, czyj to kot. Za parę dni przyszła ponownie. Zachęciłem ją do pogłaskania, było nie było jej kotki. Zaproponowałem, aby wzięła Igę do siebie, przetrzymała parę dni i zobaczymy. Nie pokazała się już więcej, ani nie zadzwoniła. Iga jest ze mną.

Wieśka, kuzynka z Elbląga, uczyła mnie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych jazdy na rowerze. Mieliśmy dwa. Jeden to tzw. damka, dla pań, a drugi z ramą dla mężczyzn. Napis na ramie roweru męskiego „Otello”. Nauka odbywała się w Krotoszynie przed domem na ulicy Koźmińskiej 53. Koniecznie chciałem jechać na rowerze męskim. No bo w końcu byłem mężczyzną, małym, bo małym, ale nie mogłem się tego wyprzeć. Z prawej strony przy furtce stał słup telefoniczny. Ja z kolei, nie mogąc siedzieć na siodełku, kręciłem pedałami z nogą przełożoną na drugą stronę pod ramą. Tak jadąc, wjechałem między słup a płot i stało się. Leżałem jak długi z rozwalonym kolanem. Jakaś tam naukę z tego wyniosłem. Jeździłem na różnych rowerach cały czas. A skończyłem kilkanaście lat temu, kiedy dwa razy się przewróciłem. Chyba jeszcze nie ze starości, ale trzeba chuchać na zimne. Ostatni raz było dosyć niebezpiecznie. Wjechałem pod wiadukt kolejowy w Ligocie. Trzymałem się jak najbliżej prawego krawężnika, ale asfalt w tym miejscu okazał się bardzo nierówny i runąłem. Dopiero co wyprzedził mnie samochód. Całe szczęście, że nic nie jechało za mną. Kiedy się zbierałem, podszedł jakiś facet i pomógł mi. Przy okazji powiedział, że miałem szczęście w nieszczęściu. Ręka i noga z rozerwaną skórą. Nie pamiętam już, być może miałem gips na prawym przedramieniu. Postanowiłem skończyć z tymi jazdami. Nigdy nie jeździłem z żadnymi ochraniaczami i nie miałem kasku na głowie. Rower oddałem sąsiadowi. Teraz jazda bez odpowiedniego ubioru jest już nie do pomyslenia.

Póki człowiek żyje, to jeszcze coś tam ma do gadania. Nieważne co, ważne że coś. Jak umrze, to już nic. Z punktu widzenia nieboszczyka jest to oczywiste. Nie może nic powiedzieć, choćby bardzo chciał, ani drgnąć. Całkowicie unieruchomiony. Pod każdym względem. Wtedy do akcji wkracza najczęściej rodzina. Podam dwa przykłady odnoszące się do znajomych. Z jedną rozmawiałem bezpośrednio, a z drugą telefonicznie. Zapytałem się obu, czy chcą być po śmierci spopielone, czy pochowane w trumnie. Spopielone – odpowiedziały. Jeśli nie, to nas robaki zeżrą, fuj. W końcu przyszedł na nie czas i odeszły. Byłem na obu pogrzebach i ze zdumieniem stwierdziłem, że ich nie spalono. Stojąc nad trumną jednej z nich, rzekłem głośno: Mówiłaś, że będziesz skremowana, i co? Odpowiedzi nie usłyszałem. Drugą zobaczyłem dopiero na cmentarzu, jak składano ją w trumnie do grobu. Tu zadałem pytanie, nie otwierając ust. I też nic nie usłyszałem.

Mimo już mocno podeszłego wieku zainteresowałem się tematem, który pojawił się na jednej ze stron internetowych: „Jak często powinno się zmieniać majtki?” Odpowiedzi udzielili specjaliści. Autorka wyraźnie podkreśliła, że jest różnica między kobietami i mężczyznami. To już wiadomo od dawna, więc pomijam ten drobiazg. Choć ostatnio różnice coraz bardziej się zacierają. Nie przytaczam tu szczegółów omawianych przez specjalistów z indyjskiej kliniki oraz ich zaleceń i gróźb niezmienniana majtek. Zabrakło mi paru rzeczy. Wprowadzić zalecono zmieniać bieliznę raz dziennie bądź w zależności od okoliczności częściej, jednak poszedłbym dalej i ustalił, czy np. o 6.00, 10.00, 16.00 i 20.00, czy w równych odstępach czasu. Ważne by też było, czy zmiany te dotyczą majtek białych, niebieskich bądź zielonych, albo w różnych wzorach. Nie sprecyzowano również, czy to mają być majtki bezszwowe, koronkowe, figi, brazyliany, bokserki, erotyczne itp. Pytań można zadać więcej. Zajrzałem na inne strony i zrezygnowałem z kontynuowania rozważań o majtkach, bo zamęt znowu mi się w głowie

zrobił. Ja tam będę je zmieniał dalej według potrzeby. Mam już dosyć tych zaleceń, zakazów i straszenia. W końcu to ja i moje majtki.

Ile jajek jeść dziennie albo tygodniowo? Pytanie, które spędza sen z powiek wielu człowiekowi. Czworonogi się tym specjalnie nie interesują. Właśnie przeczytałem wypowiedź prof. Ewy Stachowskiej. Tak ją zakończyła: „Napiszcie, ile jajek tygodniowo jecie – ja 2. I lipidy jak ta lala. Pozdrawiam.” Dzielę się informacją o tym, ile jajek jem nie tygodniowo, a dziennie. Regularnie trzy (w tym jedno całe i dwa żółtka), ale czasami, dwa bądź trzy razy w tygodniu, dokładam jedno całe, rzadziej dwa. Wychodzi, że tygodniowo z grubsza 24. I tak już ponad 25 lat. Pani profesor chwali się, że jej lipidy są jak ta lala. Myślę, że wszystkie lipidy profesorskie są jak ta lala. Nie może być inaczej. Co do tego nie mam żadnej wątpliwości, przecież wypływa to z ich znajomości rzeczy, żeby nie powiedzieć mądrości. Pani profesor swoją lalę za najpiękniejszą uważa, ale się nią nie pochwaliła bliżej, więc trudno ocenić. Nie mogę więc porównywać jej i mojej i powiedzieć, czy moja lala jest piękniejsza czy brzydsza. Poza tym, jeśli o takie oceny chodzi, to są one pełne subiektywizmu. Podobno każda sroka swój ogon chwali. Z odrobiną zarozumiałości stwierdzę, że moja lala na pewno nie jest tak urodziwa jak profesorska, ale mnie się podoba. Nie to żebym zaraz wychwalał ją pod niebiosa. Co to, to nie. Na pewno przy dokładniejszym przedstawieniu (i nie chodzi mi, aby organizować konkurs piękności) różniłyby się bardzo. Pani profesor, gdyby ją ujrzała, uznałaby za tak brzydką, że jeszcze takiej nie widziała. Domyślam się tylko, że uroda lali pani profesor jest klasyczna, choć to określenie mało precyzyjne, moja zaś wyraźnie od niej odbiega. Ale ja taką lubię. Zapewne to kwestia gustu, jak zwykle nawet przy pobieżnym spojrzeniu. Można się też mylić.

Napisał latem 2024 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright by Eugeniusz Tomczak

